

Od autora: (fragment nowo pisanej książki "Dojrzałe lata" z cyklu "Zza zasłony czasu". Czas: lato 1989. Miejsce i forma aktywności: powrót z Kętrzyna do domu na rowerach)

(...)

Dwie godziny, pełne śmiechów i rozmów, minęły szybko. Przed kolacją pożegnaliśmy nasze posmutniałe dzieci i wyruszyliśmy w powrotną drogę. Nie chciałem wracać tą samą trasą, po drugie mieliśmy tylko kilka godzin do zmierzchu. Pojechaliśmy więc w kierunku Olsztyna drogami wojewódzką i krajową, przy której były zaznaczone na mapie turystycznej pola biwakowe i kempingi.

Pogoda dalej nam dopisywała – było ciepło, ale nie za gorąco; jedynie słońce nas oślepiało, świecąc prosto w oczy. Ruch samochodów był niewielki i nie przeszkadzał w jeździe.

Nie śpieszyłem się, a kolejne pokonane kilometry i tak zostawały za nami. Minęliśmy jeden kemping, potem pole biwakowe, ale małżonka stwierdziła, że „jedzie mi się dzisiaj dobrze i dopiero gdzieś pod wieczór robimy się na noc”. Byłem nawet z tego zadowolony, chociaż przed nami już nie było żadnego miejsca zaznaczonego na mapie turystycznej. Czy to pierwszy raz? Bory się tu ciągną, ale wilki nas nie zjedzą. Gdzieś się robimy z namiotem.

Przed godziną dwudziestą nagle pociemniało. Stanęliśmy i przyjrzałem się horyzontowi przed sobą. „Jasny gwint, tylko nie teraz!” – przebiegło mnie nerwowe życzenie. Od kilku kilometrów droga wiodła przez gęsty las i wiedziałem z mapy, że długo jeszcze nie będzie najmniejszej wioski.

– Gabrysiu, jedziemy szybciej, niedługo chyba lunie i to porządnie! Może trafimy na jakieś schronienie, bo inaczej...

Przyspieszyliśmy, jadąc prosto pod nadciągające, ciemne deszczowe chmury. I nagle – szczęście, zbawienie! W środku lasu stała przy szosie wiata autobusowa. Daszek miał szczeliny, ale to i tak było lepsze ukrycie, niż pozostanie w otwartym lesie. Do tego w środku stała ławeczka. Czemu postavili wiatę w tak bezludnym miejscu? To mnie nie interesowało, liczyła się jej użyteczność w najbardziej potrzebnym momencie i miejscu.

Ledwie zdążyliśmy się schować, na twarze padły nam już pierwsze krople deszczu. Po kilkunastu sekundach lunęło jak z cebra. Była to ściana wody, nawet nie było widać lasu po drugiej stronie szosy.

– Ale nam się udało, prawdziwe oberwanie chmury – uśmiechnąłem się do małżonki. – Ale i dobrze, takie ulewy szybko mijają.

Niestety, rzęsisty deszcz padał ponad godzinę. Daszek przeciekał i trochę zmokliśmy. Na szczęście ratowały nas przeciwdeszczowe kurtki.

Kiedy ulewa przemieniła się w drobny deszczyk, wyciągnąłem mapę i przyświecając latarką przypatrzyłem się trasie przed nami.

– Gabrysiu, aż do Barczewa są same lasy. To kilkanaście kilometrów; godzina, może półtorej jazdy. Nie-

długo noc będzie. W deszczu rozbijać w lesie namiot? Pojedźmy dalej, może w tym mieście znajdziemy jakiś nocleg. To jak?

– Jedziemy – małżonka strząsnęła kaptur i przetarła czoło – prawie już nie pada.

To było zbyt szybkie stwierdzenie, bardziej nasze chciejstwo. Po kilkunastu minutach jazdy deszcz nas znowu chwycił, chociaż już nie tak rześisty. Nie przerywaliśmy jazdy, chociaż w zapadającym zmierzchu i dynamowych, słabych lampkach rowerowych światło ledwie się przebijało przez rozbryzgi wody. Co chwila przecierałem okulary, aby coś dojrzeć przed sobą. Co kilka minut nawoływałem do jadącej za mną małżonki:

– Gabrysiu, jesteś?

– Jestem, jestem! Jedź, nie stawaj!

Po małym podjeździe, na szczęście bardzo wypłaszczonej, zaczął się długi zjazd. Lekkie naciskanie hamulców spowolniło jazdę do bezpieczniejszej prędkości; wpatrywałem się tylko w szosę przed sobą. Ściemniało już całkowicie i słabo ją widziałem, ale przynajmniej deszcz ustał całkowicie.

Byłem już na samym dole, kiedy z tyłu dobiegł mnie głos mojej towarzyszki:

– Zdzisiek, coś świeci po prawej!

– W środku lasu?! Na mapie nic nie było. Może leśnictwo?

Zatrzymałem się. Po przetarciu okularów dojrzałem po prawej stronie jezioro, dochodzące aż do szosy. Blisko jego brzegu, kilkadziesiąt metrów od nas, faktycznie pobłyskiwały słabe światełka.

– Idziemy zobaczyć. – Zawróciłem rower. – Może będziemy mogli tam przenocować.

Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że nie było tam domostwa, tylko stały namioty. Przez ścianki kilku z nich przebijało się światło latarek, słabe ale widoczne w mroku.

– To chyba jakieś pole biwakowe – mruknąłem do połowicy. – Ale dziwne, nie wygląda na dzikie, jest zagospodarowane i dużo namiotów. Dlaczego nie ma go na mojej mapie? Mam przecież nową.

Polanka nadbrzeżna była oczyszczona z krzewów, drzewa też rosły z rzadka. Dojrzałem nawet drewniany szalet i zadaszone ławeczki ze stołem. „Nie ma co jechać dalej. Mamy miejsce na nocleg” – od razu zdecydowałem.

– Dobra, tu się rozbijamy, póki nie pada. Dobrze, żeś zauważyła. – Poświeciłem latarką wokół. – O, tutaj jest płasko. Rozstawię namiot, zjemy coś na sucho i lulu.

– Nie chce mi się nic jeść. Chcę się tylko przebrać i spać.

– Masz rację, też nie jestem głodny. Wyciągnij suche rzeczy z sakw, a ja zabieram się za namiot.

Wyczyszczenie miejsca z mokrych gałązek i szyszek oraz rozstawienie namiotu poszło nam sprawnie. Po półgodzinie leżeliśmy już na nadmuchanym materacu, przebrani w suche rzeczy. Ciepły koc pozwolił szybko się rozgrzać.

– Uff, zdążyliśmy. Znowu deszcz zaczyna padać – szepnąłem, przytulając się do małżonki.

– Yhmm... – odmrugnęła. Już była w objęciach Morfeusza.

Nie trwało długo, a i ja poszedłem w jej ślady...

– Hellou! Hellou? – Jakiś głos, dochodzący sprzed wejścia do naszego płóciennego mikropałacyku, obudził mnie momentalnie. Połowica, w przeciwieństwie do swojej męskiej drugiej połówki, nie tak łatwo dawała się wyrwać z objęć snu. Przetarłem oczy – przez ścianki namiociku przebijało się słońce. Jest, jest pogoda!

– Chwilę... – nie mogłem nawet usiąść, więc zacząłem ostrożnie się wykręcać, próbując zamienić miejscami głowę z własnymi nogami – chwileczkę...

Nigdy nie byłem gimnastykiem, ale udało się; małżonka dalej smacznie spała. Po rozpięciu suwaka od wejścia poczułem... – „nie, chyba mam wężowe omamy” – przemknęło mi przez głowę.

To była jednak najszczerza prawda. Prawda zapachu kawy, aromatycznej, prawdziwej kawy!

Mrugnięcie oczami pomogło – przed sobą zobaczyłem dwa kubki z unoszącą się nad nimi mgiełką. Trzymane były w czyichś rękach, ale ich właściciel mniej mnie w tej chwili interesował. Zresztą widziałem tylko jego nogi..

– Koffi? Bitte.

– Tak, tak, ja, ja. Dzięki, z wielką przyjemnością, danke. – Z oszołomienia, jeszcze nie całkiem obudzony, mieszałem słowa polskie z niemieckimi, zapamiętanymi z lekcji szkolnych w moich młodościowych czasach. Dotarło do mnie, że właściciel tej kawy nie jest Polakiem.

– Kawa? Masz kawę?! – To własna małżonka jednak się obudziła i próbowała pierwsza przepchnąć się obok mnie przez małe wejście namiotu. – Kawa! Dla nas?!

– Spokojnie, nie pchaj się tak, bo maszt złamiesz. – Dobrodusznie próbowałem przywołać małżonkę do porządku. – Już wychodzę.

„Kawa z rana jak śmietana! – przemknęło mi przez głowę stare powiedzenie, chociaż wielu innych zamieniało pierwsze słowo na nazwę chmielowego napoju. Ja jednak do nich nie należałem. – Piękna pobudka po wczorajszych przeżyciach”.

Wyczołgałem się z namiociku i przyjąłem kubek od młodego blondyna, jednocześnie z wdzięcznością wyciągając prawicę.

– Dzięki, z przyjemnością. Danke... danke schön. Zdzisław.

– Bitte. Johann – odpowiedział z uśmiechem, ściskając mi dłoń. – Und mein... moja Frau, Heike – przedstawił stojącą obok szczupłą blondynkę.

Przywitałem się z nią i szybko pociągnąłem łyk gorącej kawy. Uch, jak smakowała...

Moja połowica wyczołgała się za mną i również przywitała z Niemcami, którzy zrobili nam pobudkę, aby sprawić taką przyjemność. Z lubością pociągnęła łyk aromatycznego napoju. Można żyć! Usiedliśmy w czwórkę przy stojącym obok stole i zapoznaliśmy bliżej, posługując się podstawową znajomością dwóch języków oraz tradycyjną, odwieczną mową migową.

Okazało się, że nowi znajomi są małżeństwem z NRD i wraz z dwójką swoich dzieci przyjechali wartburgiem do Polski, aby ją pozwiedzać w czasie urlopu. Usłyszeli w nocy, że ktoś rozbija namiot obok nich, więc rano na benzynowym kocherze zagotowali wodę i zaparzyli kawę dla nowo przybyłych.

– Wy fahren. Był desch... derss... – Johann zrezygnował z próby wymowy bardzo prostego polskiego słowa i wskazał palcem w górę. – Regen, Wasser. My warm koffi.

Uśmiechnąłem się i dopowiedziałem:

– Deszcz. De-sz-cz. Proste. Powtórz, Johann, noch einmal. Dżdżysty deszcz. Dżdży-sty de-sz-cz.

Spróbował wypowiedzieć, skrzywiając usta i zgrzytając zębami, jakby jadł chleb z piaskiem. Zrezygowany, machnął ręką i roześmiał się, wtórując głośnemu wybuchowi naszej wesołości.
(...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 19.01.2023 17:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.